

DESZCZOWA NOC,
GŁUCHE TELEFONY
I TO **OKROPNE**
POCZUCIE WINY

AUTORKA KSIĄŻKI
ZA ZAMKNIĘTYMI
DRZWIAMI

NA SKRAJU **ZAŁAMANIA**

B.A. P A R I S

PIĄTEK, 17 LIPCA

Kiedy się rozstajemy po ostatnim spotkaniu przed wakacjami, nadchodzi burza. Piorun uderza tak głośno, że Connie aż podskakuje, wzbudzając śmiech Johna. Echo grzmotu po-brzmiewa w gorącym, ciężkim powietrzu.

– Lepiej się pośpiesz! – krzyczy John.

Macham ręką na pożegnanie i biegnę do samochodu. Gdy jestem przy drzwiach, dzwoni komórka. Z torebki wydobywa się stłumiona melodia, po której poznaję, że to Matthew.

– Właśnie ruszam – mówię mu, próbując w ciemności wymacać klamkę. – Wsiadam do samochodu.

– Już? – dolatuje mnie jego głos. – Nie jedziesz do Connie?

– Taki miałam zamiar, ale myśł, że na mnie czekasz, była bardziej kusząca – odpowiadam żartem. Słyszę, że mówi jakimś bezbarwnym tonem. – Wszystko w porządku? – pytam.

– Tak, tylko mam potworną migrenę. Zaczęło się z godzinę temu i jest coraz gorzej. Dlatego dzwonię. Nie będziesz zawiedziona, jeżeli pójde spać przed twoim powrotem?

Oblepia mnie gęste powietrze zapowiadające burzę. Zbiera się na deszcz.

– Skądże. Wziąłeś coś?

– Tak, ale nie pomaga. Chyba położę się w pokoju gościnnym, żebyś mnie nie obudziła.

– Dobry pomysł.

– Chociaż wolałbym być na nogach, dopóki nie wrócisz cała i zdrowa.

Uśmiecham się, gdy to słyszę.

– Nic mi się nie stanie. To tylko czterdzieści minut jazdy. A mogę jechać Blackwater Lane, przez las.

– Ani się waż! – Niemal czuję, jak po tym okrzyku łapie go przeszywający ból. – Au, moja głowa – jęczy, a ja krzywię się ze współczuciem. Zniża głos do znośnego poziomu. – Cass, obiecaj, że tamtędy nie pojedziesz. Po pierwsze nie chcę, żebyś w środku nocy, sama, jechała przez las. Po drugie idzie burza.

– Dobrze, nie pojadę – zgadzam się szybko.

Siadam za kierownicą i rzucam torebkę na fotel obok.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Przekręcam kluczyk i włączam bieg, przyciskając telefon uchem do ramienia.

– Jedź ostrożnie – przestrzega mnie Matthew.

– Oczywiście. Kocham cię.

– Ja ciebie bardziej.

Chowam telefon do torebki, mile przyjmując stanowczość Matthew. Gdy ruszam, duże krople deszczu uderzają w szybę. Zaczyna się – przelatuje mi przez głowę.

Na dwupasmówce leje już porządnie. Przede mną jedzie wielka ciężarówka, spod której tryskają strumienie wody w ilości, jakiej nie sprostają wycieraczki mojego samochodu. Gdy przesuвам się, żeby ją wyprzedzić, na niebie rozbłyskuje błyskawica i starym zwyczajem, jeszcze z dzieciństwa, zaczynam wolno liczyć w myślach. Przy czterech uderza piorun. Zastana-

wiam się, czy jednak nie należało pojechać razem ze wszystkimi do Connie – przeczekalabym burzę, John zabawiałby nas dowcipami i historyjkami. Mam wyrzuty sumienia, przypominając sobie, jak spojrzał na mnie, gdy powiedziałam, że nie będę im towarzyszyć. Trochę nieporadnie napomknęłam o Matthew, choć zgrabniej byłoby wytłumaczyć się zmęczeniem, jak Mary, nasza dyrektorka.

Z nieba leją się już strugi deszczu, a przez to zwalniają samochody na szybkim pasie. Ścieśniają się wokół mojego małego mini, co nagle tak mnie przytłacza, że zjeżdżam na pas wolnego ruchu. Pochylona do przodu, wyjęłam wzrok, żałując, że wycieraczki nie działają szybciej. Obok mnie przejeżdża z łoskotem ciężarówka, potem druga. Gdy bez ostrzeżenia skręca na mój pas, muszę gwałtownie hamować. Mam wrażenie, że jazda tą drogą jest coraz bardziej niebezpieczna. Błyskawice znów przecinają niebo i zaraz pojawia się drogowskaz na Nook's Corner, małą wioskę, gdzie mieszkam. Czarne litery na białym tle, lśniące w blasku reflektorów niczym jakiś sygnał, wyglądają tak zachęcająco, że raptownie, w ostatniej chwili, gdy jest już prawie za późno, skręcam w lewo, w skrót, którym Matthew zabronił mi jechać. Z tyłu dolatuje wściekły ryk klaksonu i goni mnie po ciemnej leśnej drodze – brzmi to jak omen.

Nawet w blasku wszystkich reflektorów ledwie cokolwiek widać, więc od razu żałuję, że zjechałam z dobrze oświetlonej dwupasmówki. Ta droga, piękna za dnia – wśród drzew rosną niebieskie dzwonki – nocną porą i przy tej pogodzie jest zdradliwa: wije się, wznosi i opada. Czuję ucisk w żołądku na myśl, co mnie czeka. Ale stąd mam jedynie piętnaście minut jazdy. Jeżeli zachowam spokój i rozsądek, wkrótce będę w domu. Mimo to dodają lekko gazu.

Podmuch wiatru spomiędzy drzew niespodziewanie uderza

w samochód i gdy staram się zapanować nad kierownicą, teren gwałtownie opada. Na kilka sekund koła odrywają się od ziemi, a mnie serce podchodzi do gardła, jakbym zjeżdżała na karuzeli. Samochód twardo ląduje, wyrzucając spod kół fontannę wody, która zalewa przednią szybę, i na chwilę tracę widoczność.

– O nie! – wykrzykuję, widząc, że ugrzęzłam w wielkiej kałuży.

Strach, że utknę sama w lesie, podnosi adrenalinę w żyłach i zmusza mnie do działania. Włączam ze zgrzytem bieg i wciskam gaz. Samochód ryczy w proteście, ale brnie przez kałużę i wytacza się na jej drugi brzeg. Serce wali mi w rytm szorujących wściekle po szybie wycieraczek, uderza tak mocno, że potrzebuję paru chwil na wyrównanie oddechu. Nie zamierzam jednak przystawać na poboczu i ryzykować, że mój mini znów odmówi posłuszeństwa. Jadę dalej, już ostrożniej.

Kilka minut później strzela piorun, tak głośno, że zaskoczona wypuszczam kierownicę z rąk. Samochód sunie niebezpiecznie na lewo, więc szarpnię kierownicą i wyprowadzam go na środek drogi. Teraz już drżą mi ręce, boję się, że nie dojadę do domu w jednym kawałku. Staram się opanować, ale mam wrażenie, że szturmują mnie zarówno żywioły, jak i drzewa, które kołyszą się w jakimś makabrycznym tańcu – lada moment poderwą mój samochodek i cisną w sam środek burzy. Bębnienie deszczu o dach, grzechotanie szyb na wietrze i stukanie wycieraczek nie pozwalają mi się skoncentrować.

Mam przed sobą zakręty, więc pochylam się do przodu i zaciskam dłonie na kierownicy. Droga jest pusta. Pokonuję jeden zakręt, potem drugi i modlę się, żeby rozbłysły przede mną światła jakiegoś pojazdu, który wyprowadzi mnie z lasu. Chętnie zadzwoniłabym do Matthew, żeby tylko usłyszeć jego głos, upewnić się, że nie jestem sama na świecie, a tak się teraz czu-

ję. Ale nie chcę wyrywać go ze snu, zwłaszcza że dokucza mu migrena. Poza tym wściekłby się na wiadomość, gdzie jestem.

Ta droga chyba nigdy się nie skończy – przelatuje mi przez myśl i właśnie wtedy, wychodząc z zakrętu, widzę tylne światła samochodu w odległości może stu metrów. Roztrzęsiona oddycham z ulgą i lekko przyśpieszam. Tak bardzo chcę go dogonić, że dopiero gdy jestem tuż za nim, orientuję się, że stoi w miejscu, niezgrabnie zaparkowany w małej zatoczce. Zaskoczona wyprzedzam go gwałtownie, niemal ocierając się o prawy zde-rzak, i gdy zrównuję się z nim, spoglądam ze złością na kierowcę, gotowa zrugać go za niewłączenie świateł awaryjnych. Widzę twarz kobiety, zamazaną w strugach deszczu.

Przypuszczam, że mógł jej się zepsuć samochód, wobec tego stoję kawałek przed nią, nie gasząc silnika. Trudno, będzie musiała wysiąść w taką ulewę. Obserwuję samochód w lusterku wstecznym – z przewrotną radością, że jeszcze jeden głupek postanowił jechać przez las podczas burzy – i wyobrażam sobie, jak ta kobieta usiłuje znaleźć parasolkę. Dopiero po całych dziesięciu sekundach uprzytamniam sobie, że ona wcale nie zamierz-a wysiąść, i mimo woli czuję rozdrażnienie: czy ona spodziewa się, że pobiegnę do niej w taki deszcz? Chyba że z jakiegoś powodu nie może wysiąść – ale wtedy przecież zamrugałaby światłami albo zatrzymała, poprosiła o pomoc. Nic się nie dzieje, więc odpinam pas, nie odrywając oczu od lusterka wstecznego. Nie widzę wyraźnie, ale coś jest nie tak: kobieta po prostu siedzi w samochodzie z włączonymi światłami. Jedna po drugiej przypominają mi się historie, które Rachel opowiadała w naszych młodych latach: ludzie zatrzymują się i śpieszą na pomoc kierowcy, a tymczasem jego współlnik kradnie im samochód; kierowca wysiada z samochodu na widok potrąconego na drodze jelenia, po czym pada ofiarą brutalnej napaści i okazuje się, że to

była pułapka. Szybko zapinam pas. Gdy mijalam samochód, nie widziałam w nim nikogo więcej prócz kobiety, ale to nie znaczy, że nikogo więcej tam nie ma, że nikt nie czai się na tylnym siedzeniu i nie wyskoczy w odpowiedniej chwili.

Błyskawica znowu przecina niebo i znika w lesie. Wiatr się wzmaga, szarpie gałęzie, które uderzają w szybę po stronie pasażera, jakby ktoś chciał dostać się do środka. Dreszcz przebiega mi po plecach. Czuję, że wystawiam się na niebezpieczeństwo, więc zwalniam hamulec ręczny i przesuwam się odrobinę w przód, by wyglądało, że zamierzam odjechać, co być może skłoni tę kobietę do wykonania jakiegoś ruchu – jakiegokolwiek – do pokazania mi, że mam coś zrobić. Nadal nic się nie dzieje. Niechętnie znów zaciągam hamulec, bo to nie w porządku tak ją zostawić. Z drugiej strony nie chcę narażać się na ryzyko. Po namyśle stwierdzam, że kobieta nie sprawiała wrażenia zrozpaczonej, nie machała gorączkowo rękami, nie dawała znaków, że jest w potrzebie, więc może ktoś – na przykład jej mąż albo pomoc drogowa – już tu jedzie. Gdyby mnie zepsuł się samochód, zwróciłabym się najpierw do Matthew, nie do jakiegoś obcego człowieka.

Siedzę tak, bijąc się z myślami, a deszcz coraz natarczywiej bębni w dach – jedź, jedź, no jedź! Podejmuje decyzję za mnie. Zwalniam hamulec i ruszam możliwie najwolniej, żeby dać kobiecie ostatnią szansę. Ale z niej nie korzysta.

Kilka minut później jestem już na granicy lasu, blisko domu – pięknego i starego, w wiejskim stylu, z różami pnącymi od frontu i rozległym ogrodem z tyłu. Moja komórka daje znać, że znów złapała zasięg. Mniej więcej półtora kilometra dalej skręcam na nasz podjazd i stoję jak najbliżej drzwi wejściowych, szczęśliwa, że bez szwanku dotarłam na miejsce. Wciąż myślę o tamtej kobiecie w samochodzie, zastanawiam się, czy

nie zawiadomić policji albo pomocy drogowej. Po wyjeździe z lasu dostałam SMS-a, więc sprawdzam od kogo. Od Rachel.

Cześć, mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś! Idę spać, bo prosto z lotniska musiałam jechać do pracy i wykończyła mnie różnica czasu. Chcę tylko zapytać, czy kupiłaś ten prezent dla Susie. Zadzwoń jutro rano. Całusy.

Doczytawszy do końca, bezwiednie marszczę brwi – dlaczego ona pyta o prezent dla Susie? Jeszcze nie kupiłam, zbyt zajęta sprawami związanymi z zakończeniem roku szkolnego. Zresztą mam czas: przyjęcie jest dopiero jutro wieczorem, zaplanowałam zakupy na przedpołudnie. Czytam ponownie i teraz uderza mnie wyrażenie „ten prezent”, a nie w ogóle „prezent”, tak jakby Rachel spodziewała się, że kupiłam coś od nas obu.

Wracam pamięcią do naszego ostatniego spotkania. Widzieliśmy się ze dwa tygodnie temu, w przeddzień jej wyjazdu do Nowego Jorku. Rachel pracuje jako konsultantka w brytyjskim oddziale Finchlakers, ogromnej amerykańskiej firmy doradczej, i często wyjeżdża służbowo do Stanów. Tamtego wieczoru poszliśmy do kina, a potem na drinka. Możliwe, że wtedy poprosiła mnie o kupienie czegoś dla Susie. Ale czego? – głowię się. – Co uzgodniłyśmy? To mogło być cokolwiek – perfumy, biżuteria, książka, bo ja wiem? Nic mi się nie przypomina. Opadają mnie myśli o mojej mamie, niewygodne, więc szybko je odpycham. To nie to samo – mówię sobie twardo. U mnie to co innego. Jutro mi się przypomni.

Wkładam telefon do torebki. Matthew ma rację: muszę odpocząć. Wystarczy parę tygodni na plaży i wszystko będzie ze mną w porządku. Jemu też przyda się wolne. Zamiast jechać w podróż poślubną, postanowiliśmy wyremontować dom, więc

ostatnie wakacje w pełnym tego słowa znaczeniu – takie, że człowiek nic nie robi przez cały dzień, tylko leży na plaży i pławi się w słońcu – miałam jeszcze przed śmiercią taty, osiemnaście lat temu. Potem nie stać mnie było na żadne większe wyjazdy, zwłaszcza gdy przestałam uczyć w szkole, żeby opiekować się mamą. Po jej śmierci, kiedy okazało się, że uboga wdowa, jak sądziłam, jest tak naprawdę zamożną osobą, byłam zdruzgotana. Nie mogłam pojąć, dlaczego wołała żyć tak skromnie, skoro mogła sobie pozwolić na luksusy. Do głębi wstrząśnięta, ledwie słyszałam, co mówi adwokat, i gdy w końcu dotarło do mnie, ile odziedziczyłam pieniędzy, tylko patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Sądziłam, że ojciec nie zostawił nam ani pensa.

Uderzenie pioruna, już gdzieś dalej, sprowadza mnie do teraźniejszości. Patrzę przez szybę, żeby przekonać się, czy dobiegnę do ganku w miarę sucha. Przyciskam torbę do piersi i wypadam z samochodu, trzymając klucz w pogotowiu.

W przedpokoju zrzucam buty i na palcach idę na górę. Na widok zamkniętych drzwi do pokoju gościnnego kusi mnie, żeby je uchylić i zobaczyć, czy Matthew już śpi. Wolę jednak nie ryzykować, że go obudzę, więc szybko rozbieram się i ledwie przyłożę głowę do poduszki, zasypiam.

SOBOTA, 18 LIPCA

Następnego ranka, gdy się budzę, mój wzrok pada na Matthew, który siedzi na łóżku, z kubkiem herbaty w ręce.

– Która godzina? – mamroczę, mrużąc oczy w słońcu wlewającym się przez okno.

– Dziewiąta. Od siódmej jestem na nogach.

– Co z migreną?

– Przeszła.

Jego słomkowe włosy mają w słońcu złocisty połysk. Wyciągam rękę i przeczesuję je palcami, delektując się ich gęstością.

– To dla mnie? – Zerkam z nadzieją na kubek.

– Oczywiście.

Podciągam się do pozycji siedzącej i z powrotem opieram głowę na poduszkach. Z dołu dolatują dźwięki piosenki nadawanej w radiu, *Lovely Day*, mojej ulubionej na dobre samopoczucie, i dociera do mnie, że mam przed sobą sześć tygodni wakacji – chce się żyć.

– Dzięki. – Biorę kubek. – Udało ci się zasnąć?

– Tak, spałem jak kamień. Przepraszam, że nie zaczekałem. Jak ci się jechało?

– Dobrze. Mimo grzmotów i błyskawic. No i deszczu.

– Przynajmniej od rana mamy znów słońce. – Lekko mnie trąca. – Posuń się. – Powoli, żeby nie wylać herbaty, robię mu miejsce. Sadowi się obok mnie, podnosi rękę, a ja przytulam się do niego, kładąc głowę na jego ramieniu. – Niedaleko stąd znaleziono martwą kobietę – mówi tak cicho, że ledwie go słyszę. – Przed chwilą usłyszałem w wiadomościach.

– Straszne. – Stawiam kubek na stoliku nocnym i odwracam się do Matthew. – Powiedziałeś „niedaleko stąd”. A dokładnie? W Browbury?

Gdy odgarnia mi pasemko włosów z czoła, czuję delikatny dotyk jego palców.

– Nie, bliżej, gdzieś przy drodze przez las między nami a Castle Wells.

– Przy której?

– No wiesz, Blackwater Lane.

Pochyla się, chcąc mnie pocałować, ale się odsuwa.

– Przestań.

Serce trzepocze mi w piersi jak uwięziony w klatce ptaszek. Patrzę na Matthew, czekając, żeby się uśmiechnął, powiedział, że wie o moim powrocie przez las zeszłej nocy i tylko się ze mną drażni. Ale on jedynie marszczy brwi.

– Tak, to okropne.

– Mówisz serio? – Wbijam w niego wzrok.

Jest naprawdę zaskoczony moim pytaniem.

– Oczywiście. Nie opowiadałbym takich bajek.

– Ale... – Robi mi się niedobrze. – Dlaczego umarła? Podał jakieś szczegóły?

Kręci głową.

– Tyle tylko, że siedziała w swoim samochodzie.

Odwracam się, nie chcąc, żeby zobaczył moją minę. Nie-

możliwe. To jakaś inna kobieta – mówię sobie.

Gdy znowu obejmuje mnie ramieniem, robię unik.

– Muszę wstawać i jechać na zakupy.

– Co chcesz kupić?

– Prezent dla Susie. Dziś wieczorem urządza przyjęcie, a ja nic dla niej nie mam. – Spuszczam nogi z łóżka.

– Nie ma pośpiechu. – Próbuje mnie zatrzymać, ale łapię komórkę i znikam.

Zamykam się w łazience i odkręcam prysznic, chcąc zagłuszyć wewnętrzny głos, który mówi mi, że znalezione zwłoki to kobieta, którą widziałam wczoraj w nocy na drodze. Jestem tak roztrzęsiona, że siadam na brzegu wanny i włączam internet. Na stronie z aktualnościami podają tę informację jako wiadomość z ostatniej chwili, ale bez szczegółów. Sam fakt, że znaleziono martwą kobietę w jej samochodzie niedaleko Browbury w hrabstwie Sussex. Czy to znaczy, że popełniła samobójstwo? Co za okropność.

Myśli kłębią mi się w głowie, gdy usiłuję zrozumieć, co się stało. Jeżeli to rzeczywiście ta sama kobieta, może wcale nie zepsuł się jej samochód, może celowo stanęła w zatoczce, w odosobnionym miejscu, żeby mieć spokój. To by wyjaśniało, dlaczego nie zamrugała światłami, nie poprosiła o pomoc – w ogóle nie próbowała mnie zatrzymać, kiedy przejeżdżałam obok, a z pewnością dałaby jakiś znak, gdyby coś nie działało. Z zażenowania aż czuję mdłości. Teraz, w ten słoneczny poranek, wierzyć mi się nie chce, że nie podeszłam do tej kobiety. Gdybym to zrobiła, sprawy może potoczyłyby się inaczej. Może powiedziałyby, że nic jej nie jest, udałyby, że zepsuł się samochód i ktoś już jedzie z pomocą. Wtedy zaproponowałabym, że zostanę do przyjazdu tej osoby. A gdyby stanowczo się sprzeciwiła, nabrałabym podejrzeń, wdała się z nią w rozmo-

wę – i może by nadal żyła. Poza tym czyż nie powinnam była kogoś zawiadomić? Skupiona na SMS-ie od Rachel i prezencie dla Susie, który miałam kupić, zupełnie zapomniałam o kobiecie w samochodzie.

– Kochanie, długo tam będziesz? – dolatuje zza drzwi głos Matthew.

– Jeszcze chwilę! – przekrzykuję szum cieknącej na próżno wody.

– No to idę szykować śniadanie.

Zdejmuję pizamę i wchodzę pod prysznic. Woda jest gorąca, ale nie aż tak, by zmywała piekący wstyd. Mocno szoruję skórę, starając się odsunąć od siebie obraz kobiety, która otwiera fioletową torebkę z tabletkami, wysypuje je na dłoń i połyka, popijając wodą. Jakie okropności musiała znosić, że targnęła się na własne życie? Czy w ostatnich chwilach życia zaczęła żałować swego czynu? Żeby przerwać natłok tych nieznośnych myśli, zakręcam wodę i wychodzę spod prysznica. Nagła cisza tak mnie irytuje, że włączam w komórce radio, z nadzieją, że usłyszę jakąś pogodną, pokrzepiającą piosenkę, wszystko jedno co, bylebym przestała myśleć o kobiecie w samochodzie.

„...we wczesnych godzinach porannych znaleziono zwłoki kobiety w samochodzie zaparkowanym przy Blackwater Lane. Śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach. Policja nie podała żadnych szczegółów, ale zaleca tamtejszym mieszkańcom zachowanie czujności”.

Szok jest tak silny, że aż mnie zatyka. „Śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach” – to zdanie odbija się od ścian łazienki. Czy nie tak wypowiada się policja, gdy kogoś zamordowano? Ogarnia mnie strach. Byłam tam, dokładnie w tym miejscu. Czy morderca czaił się wtedy w krzakach, czekał na sposobność, by zabić? Kręci mi się w głowie na myśl, że mo-

gło paść na mnie, że to mnie mógł zamordować. Chwytam po omacku ręcznik i staram się głęboko oddychać. Chyba mi rozum odebrało, że wczoraj tamtędy pojechałam.

Idę do sypialni i wkładam czarną bawełnianą sukienkę, wyciągniętą ze stosu ubrań na krzesło. Dolatujący z dołu zapach grillowanych kiełbasek przypomina mi o mdłości, jeszcze zanim otworzę drzwi do kuchni.

– Pomyślałem, że dla uczczenia pierwszego dnia twoich wakacji zrobimy sobie wystawne śniadanie – mówi Matthew, tak rozradowany, że zmuszam się do uśmiechu, nie chcąc zepsuć mu nastroju.

– Świetnie.

Chcę mu opowiedzieć o zeszłej nocy. O tym, że mogłam zginać. Chcę się podzielić swoim strachem, tak potężnym, że ledwie nad nim panuję. Ale gdy przyznam się, że wracałam przez las, choć kategorycznie mi zabronił, Matthew się wścieknie. Nieważne, że jestem tutaj, cała i zdrowa siedzę w kuchni, a nie leżę zamordowana w swoim samochodzie. Poczuję się tak jak ja, będzie przerażony tym, do czego mogło dojść, wstrząśnięty, że narażam się na niebezpieczeństwo.

– O której wybierasz się na zakupy? – pyta.

Ma na sobie szary T-shirt i cienkie bawełniane szorty. W innej sytuacji pomyślałabym, jaka ze mnie szczęściara, że trafił mi się taki facet. Ale teraz z trudem odwracam głowę w jego stronę. Mam wrażenie, że to, co przed nim ukrywam, jest wypalone na mojej skórze.

– Zaraz po śniadaniu.

Patrzę przez okno na ogród za domem, usiłując skupić się na jego uroku, ale moje myśli wciąż biegną wstecz, wraca wspomnienie, jak odjechałam z tamtej zatoczki. Wtedy jeszcze żyła, ta kobieta w samochodzie.

– Rachel jedzie z tobą? – Głos Matthew wyrywa mnie z zamyślenia.

– Nie. – Uprzytamniam sobie, że tak byłoby najlepiej, może bym jej powiedziała, co się stało i jaka jestem rozbita. – Właściwie to dobry pomysł. Zadzwoń do niej i spytam.

– Tylko szybko. Śniadanie jest prawie gotowe.

– Wracam za minutę.

Wychodzę do przedpokoju i z domowego telefonu – komórka ma zasięg tylko na piętrze – dzwonię do Rachel. Trochę to trwa, zanim odbierze, ale wreszcie słyszę jej zaspany głos.

– Obudziłam cię – mówię przepraszająco, przypomniawszy sobie, że dopiero co wróciła z Nowego Jorku.

– Mam wrażenie, że jest środek nocy – burczy. – Która godzina?

– Wpół do dziesiątej.

– Czyli rzeczywiście środek nocy. Dostałaś mojego SMS-a?

Tym pytaniem zbija mnie z tropu. Milknę, czując pulsowanie w skroniach, zapowiadające ból głowy.

– Tak, ale jeszcze nie mam prezentu dla Susie.

– Jak to?

– Byłam bardzo zajęta – mówię szybko. Przypomina mi się, że nie wiedzieć czemu Rachel sądzi, iż miałam kupić coś od nas obu. – Pomyślałam, że zaczekam do dziś, na wypadek gdybyśmy zmieniły zdanie i postanowiły dać jej coś innego. – Próbuję nakłonić ją do wyjawienia, jaki to miał być prezent.

– Niby dlaczego miałybyśmy zmienić zdanie? Wszyscy stwierdzili, że twój pomysł jest najlepszy. Poza tym, Cass, to przyjęcie odbędzie się dziś wieczorem!

Słowo „wszyscy” znowu wprawia mnie w zakłopotanie.

– Nigdy nie wiadomo – odpowiadam enigmatycznie. – Nie chciałabyś jechać ze mną?

– Chętnie, ale ta zmiana czasu...

– A jeśli zaproszę cię na lunch?

Zapada cisza.

– W Costello's?

– Zgoda. Spotkajmy się o jedenastej w kawiarni w Fenton's, zafunduję ci jeszcze kawę.

Słyszę ziewanie, a potem jakiś szelest.

– Zastanowię się, dobrze?

– Wykluczone – mówię stanowczym tonem. – Raz-dwa, wyskakuj z łóżka. Do zobaczenia.

Gdy odkładałam słuchawkę, jest mi już trochę lżej i przestaje się przejmować prezentem dla Susie. W porównaniu z poranną wiadomością to drobne zmartwienie.

Idę do kuchni i siadam przy stole.

– Jak ci się podoba? – pyta Matthew, zamaszystym gestem stawiając przede mną talerz z kielbaskami, bekonem i jajkami.

Chyba nie zdołam nic zjeść, ale uśmiecham się radośnie.

– Super! Dzięki.

Matthew siada obok mnie i zabiera się do jedzenia.

– Jak się miewa Rachel?

– Dobrze. Pójdzie ze mną na zakupy. – Spoglądam na swój talerz i zastanawiam się, jak uszanować jego zawartość. Biorę kilka kęsów, ale mój żołądek się buntuje, więc dziobię widelcem w talerzu i ostatecznie się poddaję. – Przepraszam. – Odkładałam sztucę. – Po wczorajszej kolacji wciąż jestem najedzona.

Matthew wbija widelec w moją kielbaskę.

– Szkoda, żeby się zmarnowało – mówi z szerokim uśmiechem.

– Proszę. Śmiało.

Spoglądam na mnie swoimi niebieskimi oczami i przytrzymuje mój wzrok.

– Dobrze się czujesz? Mam wrażenie, że jesteś trochę zgaszona.

Mrugam powiekami, by zahamować napływające do oczu łzy.

– Nie mogę przestać myśleć o tej kobiecie. – Gdy wreszcie zaczynam o tym rozmawiać, czuję taką ulgę, że słowa same cisną mi się na usta. – W radiu mówili, że według policji okoliczności jej śmierci są podejrzane.

Matthew odgryza kawałek kielbaski.

– Czyli została zamordowana.

– Tak to rozumiesz? – pytam, choć wiem, jaki jest sens tego stwierdzenia.

– Zawsze wypowiadają się w ten sposób, dopóki nie przeprowadzą badań kryminalistycznych. Boże, koszmarna sprawa. Nie rozumiem, dlaczego narażała się na takie niebezpieczeństwo, jadąc w nocy tą drogą. Wiem, że nie mogła przewidzieć, co ją czeka, ale mimo wszystko...

– Może zepsuł jej się samochód – podsuwam powód, a dłoń nie same zaciskają mi się pod stołem.

– Prawdopodobnie. Kto by się zatrzymywał w takim odludnym miejscu? Ta biedaczka musiała być przerażona. W lesie nie ma zasięgu, więc pewnie modliła się, żeby ktoś się pojawił i jej pomógł. I pomyśleć, co się stało, gdy nadjechał.

Aż zapiera mi dech ze zgrozy i czuję, jakby oblano mnie kulem zimnej wody. W jednej chwili przytomnieję, uświadamiając sobie potworność tego, co zrobiłam. Wmawiałam sobie, że ona już zadzwoniła po pomoc – a przecież wiedziałam, że w lesie nie ma zasięgu. Dlaczego tak się zachowałam? Dlaczego wyłeciało mi to z głowy? Może dlatego, żebym mogłam z czystym sumieniem pojechać dalej? Już nie mam czystego sumienia. Zostałam tę kobietę jej losowi. Oddałam ją w ręce mordercy.